



Marek Bartłomiej

Cabak

Czarodzieje

Gateway



Czarodzieje Hateway



Czarodzieje Hateway

Marek Bartłomiej
Cabak



Poznań 2018

Copyright © by Marek Bartłomiej Cabak, Szczecin 2016
Copyright © by Wydajemy Książki Krystyna Płowiec-Niewolna,
Poznań 2016

Wydanie I
ISBN: 978-83-942098-5-8

Grafika na okładce i ilustracje w książce
Copyright © by Joannah, Łódź 2016

Zdjęcie autora na okładce
Copyright © by A - Studio Adriana Kasperska, Szczecin 2018

Redakcja
Ewa Kaleta

Korekta
Kinga Szelest

Skład
Ozzyman



Wydajemy Książki
Krystyna Płowiec-Niewolna
Ul. Klasztorna 5/6 lok. 2
61-779 Poznań

www.WiezaCzarnoksieznika.pl
kontakt@wiedzaczarnoksieznika.pl



@czarodziejehateway
@wydajemyksiazki

Dla Ciebie, Babciu
Dla Ciebie, Dziadku

Kwiecień 2014

*Po minionych złych deszczach i burzy
Powracają burze i złe deszcze,
Ale ciągle nadzieja mi wróży,
Że to, czego czekam, przyjdzie jeszcze.*

Leopold Staff

Książka jest fikcją literacką.
Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób
i zdarzeń jest niezamierzone.
I może być tylko przypadkowe.

Spis treści

| | |
|--|-----|
| Prolog | 11 |
| Rozdział 1. Nieobecni | 13 |
| Rozdział 2. Magia wróciła | 23 |
| Rozdział 3. Nie takie straszne San Francisco | 29 |
| Rozdział 4. Nie ufaj gnomom | 36 |
| Rozdział 5. Siostry z domu pyry | 39 |
| Rozdział 6. Detektywi Staroczescy | 46 |
| Rozdział 7. Jak Zabłocki na mydle | 59 |
| Rozdział 8. Bezimienna | 66 |
| Rozdział 9. Sojusz Kamiennego Tygrysa | 78 |
| Rozdział 10. Wiewiór, papuga i kocur | 84 |
| Rozdział 11. Znacie bednarza? | 94 |
| Rozdział 12. W Krainie Zagubionych Strapień | 117 |
| Rozdział 13. Ryby głosu nie mają | 134 |
| Rozdział 14. Zakłète siedziska dyktatu | 143 |
| Rozdział 15. Sprawa szmaragdu. Lombardzista | 144 |
| Rozdział 16. Sprawa szmaragdu. Więzień | 153 |
| Rozdział 17. Sprawa szmaragdu. Druidka | 172 |
| Rozdział 18. Jedynek | 177 |
| Rozdział 19. Ultimatum Lady Morgan | 184 |
| Rozdział 20. Na boską Amerykę | 193 |
| Rozdział 21. Uciekinierka | 203 |
| Rozdział 22. Spontaniczny krąg | 218 |
| Rozdział 23. Prawda się niecierpliwi | 230 |
| Rozdział 24. Tędy, nie tędy | 239 |
| Rozdział 25. Paradoks życia | 256 |
| Rozdział 26. Ubojnia Starego Pana | 267 |
| Rozdział 27. Zanim umrze nadzieja | 277 |
| Rozdział 28. Dziedzic zła | 284 |
| Rozdział 29. Historia powrotów | 297 |
| Rozdział 30. WRW | 308 |

| | |
|---|-----|
| Rozdział 31. Niebieskie oczka | 318 |
| Rozdział 32. Ostatnia prosta | 322 |
| Rozdział 33. Zrozumieć marzenia innych | 326 |
| Rozdział 34. Hate the way | 340 |
| Rozdział 35. Twoje moje szczęście | 353 |
| Rozdział 36. Z empatią za pan brat | 367 |
| Rozdział 37. Daj mi trochę zemsty! | 375 |
| Rozdział 38. Cierpienia Prudence | 385 |
| Rozdział 39. Znacze Nieve? | 394 |
| Rozdział 40. Wielki Plan Klepiska Nadziei | 404 |
| Rozdział ostatni. Po burzy | 414 |

Prolog

Boimy się śmierci. Nie chcemy o niej myśleć, ani tym bardziej rozmawiać. Wierzimy, że nas nie dotyczy. Do czasu... aż nie zapuka do naszych drzwi, a nam nie zostanie tylko nadzieja. Tak też myślał Demek, o którym jest ta historia.

W sobotę przed jego domem pojawiła się śmierć. Uosabiał ją czarnoskóry mężczyzna, który przyszedł w towarzystwie blondwłosej kobiety.

Szeptali do siebie. W ich spojrzeniach wyczuwalne było zderzenie – jakby na coś czekali.

– Gwiazda Wiedzy nie kłamie – zaznaczył srogo przybysz.

– Oby inne gwiazdy nie zawiodły – odparła kobieta.

Wtem od strony ogrodu wtargnął do domu łysawy mężczyzna.

– Zaczęło się – westchnęła.

– Odejdźmy na bok – napomniął Pan Śmierci. – Nie łammy zasad gwiazd.

Schowali się w oddaleniu, za wielkim drzewem. Dzień był paskudny, choć majowy, a trawnik zabłocony i miękki.

Z nagłą, do frontowych drzwi zapukał starszy człowiek, ubrany w biały, długi płaszcz, który u samego dołu zamieniał się w kłęby dymu. Po krótkim czasie otworzył mu Demek, i na jego widok stanął jak wryty. Wymienili między sobą dwa, może trzy zdania i padli sobie w ramiona.

– *Przez chwilę ten świat leży u twych stóp* – powiedział czarnoskóry mężczyzna. – *Przez chwilę wierzysz w ten cud*¹.

Kobieta jęknęła, spoglądając prosto w oczy Panu Śmierci.

– *Zanim padnie strzał* – dokończył.

¹ *Zanim padnie strzał* z musicalu: *Rudolf: Afera Mayerling*, tytuł oryginału: *Die Liebe Lenki*, tekst: Jack Murphy, muzyka: Frank Wildhorn, tłumaczenie: Dorota Kozielska (z pomocą Karoliny Ludwickiej), Wiedeń 2009.

Rozdział 30

WRW

(Demek)

Nie da się uciec od prawdy. Nawet, gdy jest niewygodna. Nawet, gdy uderza w nasz najczulszy punkt. A może właśnie dlatego?! Dezyderiusz się nie mylił. To przeze mnie babcia znalazła się w takim stanie. Nie popisałem się jako wnuk. Zajmowałem się wyłącznie sobą i swoimi problemami. W końcu płynęła we mnie krew Nieve. Przynajmniej według szalonego i niemniej złego Pepita.

Po raz kolejny zawiodłem.

Zdecydowanym krokiem wyszedłem za barierkę Mostu Porzuconych Życ. Spokojnie spojrzałem w dół. To już drugi raz w niedługim czasie, kiedy się tam znalazłem. Ten most mnie przyciągał i kazał definitywnie rozwiązać kłopot. Kłopot, który wciąż we mnie siedział i niszczył od środka, przez co ja raniłem najbliższych.

Przez lata nie potrafiłem położyć temu kresu. Okazywałem się słaby. Zbyt malutki, aby się ze mną liczone i zbyt malutki, aby mi wtedy uwierzono. Jedną ręką zgarnąłem włosy z czoła, a drugą wysunąłem do przodu, żeby żadną nie trzymać się już barierki mostu. Obojętność i narastający mętlik w głowie zbiegły się z zapadającym mrokiem.

– To znowu ja! I okoliczności te same. – Dobięgl do mnie kobiety szepc.

– Wcale nie te same – odpowiedziałem posmutniałym głosem bezimienniej.

– Jak to? – drążyła usilnie.

– Wczoraj sytuacja miała się znacznie inaczej. – Wbiłem wzrok w jej niebieskie oczy. – Ani myślałem, żeby skoczyć. A teraz...

– Myślisz o samobójstwie? – Zareagowała dość przewidywalnie. Nie знаła mnie dobrze.

– Jestem skończonym egoistą. Tak jak wtedy, tak i dziś. – Odwróciłem się tyłem do białej damy. – Już raz skoczyłem z tego mostu. Nie pomyślałem o babci, dziadku, rodzicach. Nie pomyślałem o ich uczuciach. Miałem to w dupie.

– Zdarzyło się. Czasu nie cofniesz – powiedziała cichuteńko, zagłuszana szelestem wiatru.

– Adelajda, gdy się dowiedziała o mojej próbie samobójczej, dostała zawału. Wyszła z tego.

– Dlaczego więc się zdręczasz? – Powoli chwyciła mnie za bark i mocno ścisnęła.

– Ona tam leży. Na Pomorzanach. Nieprzytomna, bo... sama wiesz. Zawał ją dostatecznie osłabił. I przeze mnie może umrzeć. Taki ze mnie wnuk.

– Ostrzegałam cię. – Położyła obie dłonie na moich plecach. – Z przeszłością należy się rozliczyć, bo ona prędzej czy później zaatakuje.

– Przecież czasu nie cofnę – zripostowałem bezimiennie jej własnymi słowami.

– Prawda, Demetriuszu – odparła tajemniczo i chwyciła mnie za dłoń. – Ale możemy wrócić do przeszłości i jeszcze raz przyjrzeć się zdarzeniom, które doprowadziły cię nad przepaść.

Energicznie wyrwałem się białej damie i uciekłem na chodnik.

– Nie chcę! – krzyknąłem donośnie.

– Bo? – Dogoniła mnie.

– Bo się boję – odrzekłem dopiero po kilku minutach. – Nie znasz tego uczucia, kiedy wolisz wpaść pod auto niż dotrzeć do... No tam, gdzie bardzo nie chcesz. I tak bardzo nie chcesz, że wolisz wpaść pod auto.

– Rozumiem.

– Nie rozumiesz, bo nikt tego nie rozumie. Nikt, kto nie doznał na sobie mobbingu – prychnąłem i po raz pierwszy zdobyłem się na nazwanie rzeczy po imieniu.

– No więc... – Bezimienna na nowo zabrała głos.

– Co więc? – Bezcelnie udałem zdziwienie.

– Ostatni powrót do przeszłości – zaproponowała, wyciągając do mnie swą dłoń.

– Ostatni? – Potrzebowałem potwierdzenia, aby się odważyć.

Po jej dobrotliwym uśmiechu, poddałem się eksperymentowi. Już kilka sekund później znaleźliśmy się w budynku szkoły, na jej głównym holu. Żółte ściany napawały mnie złością i niepewnością. Mój wzrok przykuła tablica ogłoszeń. Szybko spostrzegłem, że przenieśliśmy się w czasy, w których chodziłem do pierwszej klasy. Właśnie na ten rok przypadał jubileusz dwustulecia istnienia CXI Liceum Ogólnokształcącego imienia Walentego Wyrwy w Szczecinie.

– I jak się trzymasz? – spytała niebieskooka.

– Źle, bo *znów o godność trzeba walczyć siłą*¹ – odpowiedziałem, siadając na kamiennych schodach.

– Co przez to chcesz powiedzieć?

– Chcę wrócić – warknąłem jak pies. – Do terazniejszości.

– Jeszcze niczego nie wyjaśniliśmy – odparła, zarzucając do tyłu swoje blond włosy.

– To miejsce. Ten czas. Ten ja... ta tajemnica. Lepiej na to nie patrzeć.

– Ten ty? Inny ty?

– Tak. – Kiwnąłem głową.

– Wytłumaczysz mi? – dopytywała usilnie. Uklęknęła i z dołu wbijała we mnie swój przenikliwy wzrok.

– Ludzie się zmieniają, choć są tacy, którzy temu przeczą – rzekłem spokojnie. – Z tego względu trudno wracać do przeszłości. I się w niej oglądać. Zwłaszcza, gdy się było w niej upodlanym.

– Nie możesz tak. – Złapała mnie za dłonie, jakby chciała ogrzać o nie własne. – Ciągle wmawiasz sobie winę.

– Nieprawda – odparłem stanowczo.

Zakryłem rękoma twarz i dopiero po paru dłuższych momentach kontynuowałem:

– Masz rację! Ciągle to robię. Próbuję uciec od wstydu. I dlatego wciąż milczę, bo boję się ujawnienia prawdy. Choćby przed samym sobą.

– Dziecko! Nie masz się czego wstydzić! – zagrzmiała nad wyraz znajomo, co mnie przez moment zmartwiło.

¹ *Modlitwa o złoty deszcz* w: Bajm, *Szklanka wody*. EMI Music Poland, 2000.

– No to patrz! – Uniosłem się gniewem. – Na moją pierwszą lekcję informatyki w tej szkole.

Pstryknęła palcami (jak miała to w zwyczaju) i okoliczności znowu się zmieniły. Z wielkiego holu przenieśliśmy się do niegłupio wyposażonej sali lekcyjnej, oczywiście wciąż krążąc po labiryntach przeszłości.

– Patrz na mnie! – krzyknąłem. – Patrz na tamtego mnie, szesnastoletniego chłopaka, który wyobrażał sobie Bóg wie co!

Bezimienna poprawiła włosy, a z kieszeni białej sukni wyjęła tubkę z wazeliny. Posmarowała swe spierzchnięte usta. Dopiero wtedy uchwyciła mnie, młodszego o te cztery lata.

Siedziałem przed komputerem oznaczonym cyfrą trzy. Wykonywałem zalecone mi zadanie w Wordzie. Polegało ono na wstawieniu obrazu i oprawieniu go w ramkę. Ze stanowiska numer trzy korzystali również Edek, Arek i Krzysiek, moi najlepsi przyjaciele. Jeszcze z poprzedniej szkoły.

– Koledzy, miły nauczyciel, fajna atmosfera... – wymieniała biała dama. – Co rusz wybuchy śmiechu, radość w oczach.

– Pierwszy dzień w szkole – skwitowałem. – Czułem, że naprawdę dobrze odnalazłem się w nowej rzeczywistości.

Wtenczas rozległ się dzwonek. Tamten ja spakował rzeczy do plecaka i szybko wybiegł na korytarz. Była to dla mnie ostatnia lekcja tamtego dnia. Starszy ja zostałem wraz z bezimienną w puście już sali.

– Miły nauczyciel? – jęknąłem, powtarzając słowa niebieskookiej.

– Miły dziadzio! – odparła dumnie. – W dodatku informatyk.

– Ani dziadzio, ani miły. I nie tylko informatyk – bezlitośnie podsumowałem bezimienną, wskazując jej kolejne miejsce podróży.

Następnym pstryknięciem palcami przenieśliśmy się o kilka dni wprzód. Tym razem na lekcję siemieżnej matematyki. W sali były długie rzędy połączonych ze sobą ławek. Tak jak na lekcjach informatyki, siedziałem z Edkiem, Arkiem i Krzyśkiem. Wielgachna katedra roztaczała się niemalże od ściany do ściany, a zza niej wyglądał belfer.

– Dziadzio! – Głos zabrała bezimienna.

– Pięćdziesięcioletni, niewyżyty debil. – Dałem ponieść się emocjom. – Informatyk, matematyk i wuefista.

Wtem tamten ja zajął miejsce w trzecim rzędzie, gdy rozległ się dzwonek, nawołujący na lekcję. Patrzyłem na siebie, obserwo- wałem każdy swój ruch. Towarzyszyło mi przerażające uczucie. Lekko się trząsałem, ale młodszy ja jeszcze mógł pochwalić się pewnością siebie.

– Na informatyce lepiej wyglądałeś – rzekła blondwłosa, pa- trząc mi w oczy. – Mam na myśli ciebie z przeszłości.

– Będzie gorzej – mruknąłem smętnie.

– Ej, ty! – rzucił belfer. – Jesteś z tych Hatewayów?

– Z jakich „tych”? – Szesnastoletni Demek zdobył się na deli- katną ironię.

– Do odpowiedzi, Hateway! – warknął gniewnie dydaktyk, po czym podyktował zadanie. – Stosując wzory skróconego mnożenia, rozłóż na czynniki poniższe wyrażenie.

– A do kwadratu plus B do kwadratu... – Ja uczeń głośno się zastanawiałem.

– Siadaj, pała! Nawet dwie! – krzyknął z nagła.

– Ale... – zacząłem. – Dopiero co myślałem nad rozwiąza- niem.

– Czas minął, Hateway! – Pogłaskał kozią bródkę na swej szczurowatej twarzyczce. – Jak tak dalej pójdzie, nie zdasz do następnej klasy.

Popatrzyłem na bezimienną, a ona na mnie. Prędkim krokiem wybiegłem na zewnątrz klasy. Dałem znak, aby na nowo pstryknęła palcami. Wtedy znaleźliśmy się w pustej jeszcze sali gimnastycz- nej, w tydzień później od lekcji matematyki.

– Czas na lekcję wychowania fizycznego u magistra Fiolka – nadmieniłem, aby uprzedzić białą damę.

– Będzie gorzej? – Z obawą powtórzyła moje wcześniejsze słowa.

– Wyłącznie gorzej! – skwitowałem.

Wówczas na salę wbiegli chłopacy z połączonych trzech klas – A, C i E. W tym gronie byłem ja. Już wtedy unikałem belfra, bojąc się kolejnego zbesztania. Arek, Edek i Krzysiek zaczęli się delikatnie ode mnie separować.

– Jaki ty chudy, tamten ty... oczywiście – rzekła niebiesko- oka. – Na matematyce lepiej wyglądałeś.

– Jeszcze coś? – Popatrzyłem na nią spode łba. Wtedy zamil- kła.

Nauczyciel wjechał na salę z wielkim koszem piłek do koszykówki. Każdy miał pochwytać jedną i zaczekać na dalsze wskazówki.

– Kozłujemy piłkę dookoła boiska i próbujemy dokonać rzutu do kosza – zapowiedział belfer.

Stary ja usiadłem na ławce, a młodszy ja chętnie podszedł do zadania.

– Nie tak, Hateway! – wydarł się. – Jak ty tę piłkę rzucasz?

– Jak umiem – odparłem.

– Nie pyskuj, Hateway! – Doczepił się na dobre. – Ja cię nauczę!

Natychmiast zatrzymał wykonywanie zadania. Zwołał wszystkich przed siebie, a mi kazał udać się przed kosz.

– Uwaga! Nauczymy się, jak nie rzucać piłki! – krzyknął. – Do dzieła, Hateway!

Wszystkie spojrzenia powędrowały na mnie, a gdy dokonałem rzutu, rozległ się donośny śmiech. Moi przyjaciele starali się powstrzymać, jednak do czasu, bo i oni w końcu donośnie zachichotali.

– Co za dupek! – oburzyła się bezimienna. – Banda roześmianych kretynów! Jak na imprezie Orłów.

– Witaj w moim świecie... – odpowiedziałem swojemu bytowi nicości.

– Przecież dobrze rzuciłeś – dodała troskliwie. – A nawet trafiłeś do kosza.

Gdy urąganie ustało, magister Fiołek przeszedł do kolejnego aktu chorego planu.

– Chodź tu, Hateway! – Wtórowały mu drwiny chłopaków. – Nie tylko z matematyki jesteś słaby, prawda?

– Prawda. – Kiwnąłem głową.

– Co, co? Nie usłyszałem. – Na nowo ryknął śmiechem.

Z trudem patrzyłem na siebie. Niewiele mogłem zrobić. Ja z przyszłości miałem bezimienną, tamtejszy ja – nikogo.

– Skończył etap ośmieszania – zwróciłem się do blondwłosej. – Teraz przejdzie do zastraszania.

– Przeskoczmy kilka dni do przodu – zaproponowała. – Nie godzi się wracać do tak strasznych momentów.

– Nie! – sprzeciwiłem się ostro. – Muszę raz a dobrze pokonać demony przeszłości. Bez taryfy ulgowej...

Magister Fiołek przejął ode mnie piłkę. Ułożył ją w dłoniach tak, jak tego wymagał.

– No powtórz, Hateway!

– Już – odezwałem się, wykonując jego polecenie.

– Gdzie ten kciuk? – wrzasnął ponownie. – A palec wskazujący?

– Niedobrze? – spytałem, cały w nerwach.

– Stul pysk, Hateway! – warknął jak pies. – Na ziemię! Trzydzieści pompki!

Stłamszony, zastraszony, nie oponowałem. Usilnie liczyłem czas do końca lekcji. Każda sekunda wydawała się wiecznością.

– Niżej, rób te pompki, Hateway! – naglił, przyciskając mnie butem. – Inwalidzi uczęszczają do specjalnych szkół. Chcesz do nich dołączyć?

Natenczas odszedł ode mnie, ciskając w pustą przestrzeń kolejne mniej cenzuralne obelgi.

Bezimienna wstała z niziutkiej ławeczki i popędziła wzdłuż sali gimnastycznej. Nie zwlekając długo, pognałem za nią. Przeszedłem obok belfra (który zbierał piłki do koszyka) i w odruchu zemsty krzyknąłem:

– Wal się, Fiołek!

Ten natychmiast odwrócił się, jakby mnie usłyszał. W przerażeniu dogoniłem białą damę i wskazałem kolejne miejsce w czasie do przeżycia.

W trymiga znaleźliśmy się na drugim piętrze budynku szkoły, jakiś rok później. Wzrokiem dałem niebieskookiej znak, że to czas rozstrzygający.

– Gabinet dyrektora? – jęknęła, wskazując palcem na wywieszkę przed drzwiami.

– Szukałem pomocy – skwitowałem jej posmutniałą minę.

– Co działo się przez ten rok? – drążyła.

– Dokładnie to samo, co widziałas na matematyce i wuefie – zagrzmiałem, chowając ręce za plecy. – Ciągłe ośmieszanie, szykanowanie i poniżanie. Zastraszanie i wtłaczanie poczucia winy oraz popychania do ostateczności...

– Po prostu mobbing – stwierdziła.

– Nie wiem, czy „po prostu” – wykrztusiłem.

– Molestowanie też?

– On mnie nie kochał. On mnie nienawdził. – Roześmiałem się przez łzy.

Wówczas już siedemnastoletni Demek wyszedł z gabinetu dyrektora, a za nim podążył magister Fiołek.

– Widzisz, jak kończą kapusie! – bezlitośnie zadrwił belfer.

– Proszę mnie zostawić – odparłem, utwierdzając się w niesprawiedliwości.

– Już ja dam ci popalić, Hateway! – huknął. – Jak spotkamy się na lekcjach.

Wtedy przystanęli na schodach. Bezimienna mnie objęła. Potrzebowałem wsparcia, nawet na kilka lat po tym wydarzeniu.

– Co powiedział dyrektor? – zapytała blondwłosa. – Czemu ten oblech się tak uśmiecha?

– WRW – prychnąłem.

– Demek, jaśniej! – ponagliła.

– Wielka Rodzina Wyrwy! – wyjaśniłem. – Swoim krzywdą się nie dzieje. Fiołka wsparł Franca. Ksiądz Franca oskarżył mnie o konfabulowanie i zmyślanie...

Wtem belfer chwycił mnie za ramię, mocno ściskając.

– Jeszcze jeden taki wybryk, Hateway – szepnął mi do ucha. – A zniszczę cię na dobre!

Wyrwałem się z silnego chwytu, pokonując jeden stopień. Jednak Fiołek nie miał ochoty kończyć festiwalu pogróżek. Gwałtownie zamachnął się i runął schodami w dół.

W szkole podniosła się wielka wrzawa. Obluczony Fiołek nie był w stanie wstać. Od razu, obok niego, zjawił się dyrektor i ksiądz Franca. Stałem z boku, niewrażliwy na cierpienie belfra. Z nagłą w mym kierunku zerwała się kohorta rozwścieczonych nauczycieli. Raptownie zerwałem się do ucieczki.

– Powiedział, że go zepchnąłem ze schodów – zwróciłem się do bezimiennej. – Skłamał, jak zwykle. A ja nie posiadałem dowodów, że było inaczej.

– A ten, o! Rozczochrany na Podsiadło i jego nagranie! – Biała dama wskazała palcem na Edka. Dopiero wtedy zauważyłem, że całe zajście nagrywał, zza filara. Zrobiło mi się naprawdę smutno.

– Nie podzielił się nagraniem? – Bezimienna rozszyfrowała zachowanie niby-przyjaciela.

– Gdy rozpoczął się proces – oznajmiłem otwarcie – zaprzeczył, aby Fiołek cokolwiek złego robił w stosunku do mnie.

– Bał się? Bał się magistra? – zapytała.

– Nie szukał kłopotów – dodałem bez emocji. – A sędzia skazał mnie za oczernianie nauczyciela oraz za ciężki uszczerbek na jego zdrowiu. Niech żyje polski wymiar sprawiedliwości!

Wyrwałem się z objęcia bytu nicości, wskazując kolejne miejsce podróży. Przebiliśmy się na kilka minut w przyszłość, na Most Porzuconych Życ.

– Tu się udałem – kontynuowałem po chwili milczenia. – Bardzo często tu przychodziłem. Bywały okresy, że codziennie.

– Niespokojnie tu – zauważyła niebieskooka, zwracając uwagę na przejeżdżające samochody.

Siedemnastoletni Demek niebezpiecznie wychylił się za barierkę. Razem z bezimienną zamarłem.

Wówczas na most wtargnęła Adelajda. Tego już nie pamiętałem i tego, co działo się później, również. Babcia biegła co sił w nogach. Wtedy naprzeciw niej pojawił się czarnoskóry mężczyzna, ubrany na czarno. Na twarzy miał maskę, a w rękę trzymał świecę. Ruszyłem w ich kierunku.

Znienacka babcia wkroczyła na ulicę, wprost pod pędzący autobus. Raptownie przebiłem się na pierwszy plan, aerokinezą unosząc Adelajdę ponad niebezpieczeństwo. Szybko opuściłem ją na chodnik.

Czarnoskóry mężczyzna spojrział na mnie spode łba, a ja odwróciłem wzrok na siebie, siebie młodszego. Wciąż tkwiłem przy barierce. Z nagła obok tamtego mnie zjawił się kolejny już mężczyzna. Również czarnoskóry. Było ich dwóch.

Lotem błyskawicy pobiegłem do młodszego Demka, który odwrócił się twarzą w twarz do nieznanego.

– Demek! Demek! – rozdarłem się, aby tamten ja mnie usłyszał.

Niepostrzeżenie siedemnastoletni ja wznicił kulę ognia i pchnął nią w czarnoskórego mężczyznę. Ten spłonął, a tamten ja wypadł z mostu do rzeki.

W mgnieniu oka dotarł do mnie krzyk Adelajdy. Babcia złapała się za serce i z powrotem upadła na ulicę.

– Dopełniłeś przeszłości. – Zareagowała biała dama, na nowo wciągając mnie w niewidzialny plan.

– Nie targnąłem się na własne życie! – Ucieszyłem się lekko.

– Prawda! – potwierdziła. – Ale użyłeś czarnej magii, kuli ognia.

– Dysponuję czarną magią?! – rzuciłem z gniewem. – Ale przecież dziadek zablokował mi moce.

– Demetriuszowi, synowi Prue i Connora – zagrzmiała. – Ale nie Dezyderiuszowi, synowi Nieve i Connora.

Czarodzieje

Hateway

M. B. Cabak

Oficjalna strona publikacji:

<http://czarodziejehateway.blogspot.com>





Demetriusz Hateway jest zwykłym studentem medycyny ze Szczecina, dopóki jego życiem nie wstrząsa ciąg niezwykłych zdarzeń. Niespodziewana śmierć ojca w wypadku samochodowym sprawia, że na jaw wychodzą długo skrywane sekrety rodziny, ujawniają się jej starzy wrogowie, a chłopaka zaczynają nawiedzać zjawiska coraz bardziej nadprzyrodzone.

Wkrótce okazuje się, że Demetriusz należy do starego rodu czarodziejów, choć dotąd trzymano to przed nim w tajemnicy. Przytłoczony nowymi okolicznościami musi rozwikłać zagadkę swojego pochodzenia, okiełznać rodzące się w nim magiczne moce i ocalić życie nestorce rodu – swojej babci Adelajdzie – która zapada w śpiączkę po nieudanym zamachu na nią.

Czasu ma niewiele, a stawka jest wysoka – jeśli zawiedzie, straci wszystko, łącznie ze spadkiem po rodzicach, samymi rodzicami, a nawet nowoodkrytymi magicznymi zdolnościami.

Pełna niespodziewanych zwrotów akcji i zaskakujących rozwiązań historia, w której szaleństwo szczecińskiej codzienności przenika się z prozą życia czarowników i magicznych istot z odległych krain.

Wydanie ilustrowane przez Joahannah



Patronat medialny:

BookParadise
www.bookparadise.pl

Subiektywnie
o książkach

MOZNA PRZECZYTAĆ.PL

kocham książki

SZTUKATER.PL



Wieża Czarnoksiążnika

44,99 zł

